

*Helena Jarosz*

## LOS ŻOŁNIERZA TUŁACZKA LEONA CZMIELA

Leon Czmiel urodził się 17 lipca 1917 roku, jako syn Aleksandra i Celestyny (Selektyny) z domu Krawczyk, na Kresach wschodnich, w miejscowości Jasnogórka (Jasna Górka), powiat Sarny, województwo wołyńskie (w rejonie miasta Równe). Rodzice byli rolnikami. Nie wiem dokładnie, ile miał rodzeństwa, chyba siostrę i brata.

Leon Czmiel tak wspominał<sup>1</sup> swoje dzieciństwo i młodość:

*W siódmym roku życia poszedłem do szkoły, gdzie ukończyłem jedynie cztery klasy, gdyż musiałem pomagać w gospodarstwie. W dwudziestym pierwszym roku życia zostałem powołany do służby wojskowej, do 21. Pułku Ułanów Nadwiślańskich w Równem (9 listopada 1938 r.). Ponieważ nad granicą polsko-rosyjską był względny spokój, zamiast do Ostroga powołano nas na Pomorze, do Starogardu, do II Pułku Szwoleżerów. Zaczęła się wojna niemiecko-polska, rozgorzała bitwa o Świecie Pomorskie i Chełmno Pomorskie nad Wisłą. Stamtąd, nie mając innego wyjścia, cofnęliśmy się pod Warszawę, gdzie byliśmy ponad tydzień. Niemcy zbombardowali Warszawę, a ponieważ niektóre polskie jednostki trzymały się jeszcze w twierdzy w Modlinie, chcieliśmy do nich dołączyć.*

Podczas przeprawy przez Wisłę Leon o mało nie utonął, parokrotnie idąc na dno (nie umiał pływać). Za czwartym razem dojrzał dno łodzi czy promu, której zdołał się uczepić. Nie chciano go jednak wciągnąć na przeciążony pokład, w końcu któryś z żołnierzy czy cywilów zdecydował, że skoro Leon nie utopił się, to życie mu sądzone i należy mu pomóc. Leon Czmiel notował po latach:

*Dotarcie do Modlina było niemożliwe, więc skierowaliśmy się na Garwolin. Za Garwolinem jechaliśmy nocami. Niemcy zaskoczyli nas na czystym polu czołgami i samolotami. Rotmistrz powiedział, że nie ma innego ratunku, tylko biała broń. Mogę więc przysiąc, że ułani polscy szli na czołgi niemieckie z szabłami. Porucznik uciekł z tej masakry na koniu do lasu i wołał do nas: „Kto żywy, niech ucieka tu do mnie!”.*

Jednak nie tyle Leon, co jego koń zareagował na to wezwanie i pognął ze swoim jeźdźcem w las. Schroniło się tam 12 ludzi ze szwadronu. Uciekali dalej pod osłoną nocy do Garwolina, w końcu trafili do jakiegoś dużego folwarku. Właściciel zaprosił ułanów na swój ganek, gdzie stały bańki z mlekiem, i pozwolił im się napić. Konie kazał schować do stodoły, a potem pozwolił im zwalić na podłogę snopy owsa i ułożyć się na nich do snu. Leon opowiadał:



Leon Czmiel (1917-1999)

<sup>1</sup> Wspomnienia Leona Czmiela, spisane pod jego dyktando w 1996 roku, przechowywane są w *Kronice Koła Związku Kombatantów w Muszynie*.

*Dzięki Panu Bogu, trochę pospaliliśmy do rana. Zrobiliśmy naradę, co robić dalej. Szli już Niemcy, prowadząc jeńców. Porucznik uważał, że nie ma innego wyjścia, jak poprosić o cywilne ubrania, ale było za późno.*

Jeden z kolegów Leona, widząc, że na łące toczy się jeszcze walka, przypomniał sobie, że jego ojciec, uczestnik I wojny światowej, przestrzegał go niegdyś, wtedy jeszcze małego chłopca, by nigdy nie dał się wziąć do niewoli, bo lepiej dać się zabić. Kolega pożegnał się z nimi na zawsze i popędził na koniu w ogień, obiecując przedtem, że utnie głowę dziewięciu Niemcom, a oni jemu – dziesiątą.

*Nie wiadomo, czy jego ofiara na coś się przydała. Niemcy szli już do nas z bagnietami. Dzięki temu, że porucznik<sup>2</sup> znał bardzo dobrze niemiecki, powstrzymał ich trochę, pozrywali nam tylko hełmy i pasy, a potem kazali wyprowadzić konie. Jeden z kolegów sięgnął do pasa po papierosa i w tym momencie dostał od Niemca strzał w prawą łopatkę.*

Rzucono go na auto i powieziono w niewiadomym kierunku. Leona z resztą żołnierzy zagarnięto razem z końmi, obok których szli aż do rzeki koło Garwolina, gdzie był zerwany most. Nad rzeką znajdowała się tylko kładka, po której przeszli Niemcy, a polskich żołnierzy wpędzili do wody, obok koni. Po wyjściu na brzeg kazali im odpiąć szable od koni, rzucili je na auto, konie także zabrano. Natomiast mokrych Polaków wpędzono do kościoła<sup>3</sup>.

Kościół był duży, ale zapełniony zupełnie, tak że nie można się było ruszyć. Byli tam żołnierze, taka masa ludzi, że niektórzy stali na ramionach innych. Leon stał na jakimś bocznym ołtarzu. Tak przetrwali całą noc. Rano wyszedł na ambonę ksiądz z Niemcem i powiedział, że kto czuje się chory, niech razem z innymi chorymi wyjdzie z kościoła. Leona pierwszego sam wskazał, bo był opuchnięty, a że znajdował się na ołtarzu, więc był dobrze widoczny. Na dziedzińcu koło kościoła, otoczonego przez żołnierzy niemieckich, przebywali dwa dni.

*Na pożywienie dali nam ziemniaki z kotła i surową marchew, ile kto wzięł do ręki, tyle jego. A przed nami było 35 km marszu na dzień. Spaliliśmy po drodze w pięciu kościołach, zanim dotarliśmy pieszo do Olsztyna, do Hohenstein, gdzie był obóz 1B (1A należał do Królewca).*

W którymś momencie wędrowni jeden z ułanów zauważył w rowie rozbitą kasę pancerną. Banknotów w niej nie było, tylko srebrne monety z wizerunkiem Piłsudskiego. Niektórym, idącym z boku, udało się sięgnąć, nabrać do garści monety i schować je gdzieś w ubraniu.

Jeńcy pracowali w obozie przy budowie jakichś baraków i ogrodzenia. Dostawali bardzo mało do jedzenia. Strażnicy niemieccy byli jednak przekupni. Za owe srebrne monety, znalezione przy drodze, sprzedawali jeńcom suchary (żądali „Piłsudskich”). Leon też miał pozaszywane w mundur jeniecki pięćozłotówki. Kupione suchary

<sup>2</sup> Podobno porucznikowi towarzyszyła żona, która dzielnie dosiadała konia i uczestniczyła wraz z mężem w walce.

<sup>3</sup> Relacja dotycząca przeprawy przez rzekę powtarza się we wspomnieniach autorki tekstu i w notatkach umieszczonych w *Kronice* Związku Kombatantów (zob. powyżej w tekście). Obie wersje różnią się jednak znacznie szczegółami i umiejscowieniem w czasie. Być może chodziło faktycznie o inną przeprawę, w innym miejscu i na innym etapie walk (przyp. red.).

powpychał pod koszulę i, idąc z roboty do baraku, po kryjomu je pogryzał. Zaraz za płotem z siatki i drutu kolczastego był obóz jeniecki innych narodowości. Jedzącego Leona zauważył spoza ogrodzenia jeńiec – Murzyn. Padł na kolana i na migi błagał o suchary. Leon poczęstował go jednym, a Murzyn wyciągnął ze swych łachmanów zegarek i dał go Leonowi. W baraku na swej pryczy Leon ukrył gdzieś ten zegarek, a później zaszył go w materiał spodni.

Jeńcy byli też zabierani do innych robót na teren miasta. Pracowali między innymi w sąsiedztwie dworca kolejowego. Pewnego dnia nadleciał wrogi samolot i rzucił bombę na dworzec. Kilku z nich zostało rannych. Niemcy podejrzewali, że któryś z jeńców dał jakiś znak, że był to rodzaj sabotażu. Już nie wrócili do swoich koszar. Zaczęto ich wywozić, jak się później okazało, do obozów koncentracyjnych. Być może był to Stutthoff. W obozie również chodzili do jakichś robót. Przeprowadzali m.in. rury kanalizacyjne wzdłuż baraków. Leon także przy tym pracował. Pewnego dnia dostali rozkaz, by podchodzić kolejno pod „izbę chorobową”, gdzie każdy dostawał zastrzyk i był wyprowadzany. Leon znalazł się pod koniec kolejki. Także dostał zastrzyk, po którym stracił świadomość. Kiedy oprzytomniał, była już ciemna noc. Zorientował się, że leży na stercie trupów.

Leon wspominał:

*We śnie Matka Boska (z której wizerunkiem medalik stale nosiłem) powiedziała mi: „wstawaj prędko, bo uspiąm strażników, ale nie na długo, i uciekaj tam, skąd cię zabrali”. Ocknąłem się, spojrzałem z tej kupy ciał przez okno baraku i zobaczyłem przykrywą od kanału, przy którym w dzień pracowałem.*

Na zewnątrz zobaczył także na oświetlonym placu wieżę strażniczą. Wartownik miał głowę pochyloną, opartą na karabinie, jakby rzeczywiście spał. Wskoczył przez okno baraku i podczołgał się do przykrywy. Potem mówił, że chyba sam Pan Bóg pomógł mu ją odsunąć. Wszedł do kanału, zasunął przykrywę i poszedł kanałem do trzeciej z kolei przykrywy. Wyszedł w miejscu, skąd zabrano go do baraku z trupami. W korycie przeznaczonym dla jeńców obmył się z brudu i zaglądnął przez okno do izby chorych. Zobaczył znanego sobie lekarza, więc wszedł do środka. Lekarz na widok Leonowego „widma” wystraszony spytał: „Skąd się pan tu wziął?”. A Leon na to, że z tamtego świata. Pokazał lekarzowi barak, z którego się wydostał. Lekarz nie wiedział, co tam się działo; stwierdził, że pominęli Leona wykonując śmiertelne zastrzyki, dzięki czemu przeżył. Lekarz uznał, że musi zapewnić mu bezpieczeństwo, bo mogą go szukać. Polecił mu używać odtąd nazwiska matki; w ten sposób nazywał się przez 3 miesiące Krawczyk. Po tym okresie lekarz zaprowadził Leona do baraku przejściowego i kazał mówić, gdyby ktoś z więźniów pytał, skąd się wziął, że przyjechał dopiero z pracy. Dzięki staraniom i radom lekarza udało mu się jakoś przeżyć. Leon podziękował mu, dając zegarek zaszyty w ubraniu. Lekarz nie chciał go przyjąć, mówiąc, że to bardzo cenna rzecz. Dla Leona jednak życie było droższe.

Za jakiś czas znów zabrano go do roboty. Za bramą, gdzie znalazł się dzięki lekarzowi, ponownie nosił nazwisko Czmiel. Bauerzy wybierali robotników do swych gospodarstw. Zmizerowany Leon został do końca, a pewna Niemka obejrzała go i stwierdziła, że go nie weźmie, bo nie chce za parę dni wyprawiać mu pogrzebu. Zabrał więc Leona jej sąsiad.



Książeczka wojskowa Leona Czmiela



„Pamiętka” z obozu I.B Hohenstein 1940 r.



Posorten - 1941 r.



Posorten 1943 r. Leon Czmiel pierwszy z lewej



Wszystkie fotografie z archiwum rodzinnego



Kazał żonie dobrze go karmić, dawać mu nawet drugie śniadania i podwieczorki. Sam nie przydzielał mu żadnej ciężkiej pracy. Minął miesiąc, gospodarz ładował nawóz na przyczepę ciągnika, a Leon zamiatał podwórce. Wtem rzucił miotłę, wziął widły i zaczął pomagać w ładowaniu. Wtedy gospodarz powiedział: „Czekałem, aż sam się weźmiesz do roboty. Jesteś już zdrowy i silny, będziemy pracować razem”.

Kobieta, która bała się wziąć Leona do swego gospodarstwa, przechodząc koło domu sąsiada spytała go: „Co to, dostałeś nowego robotnika, że wszędzie masz taki porządek i ze wszystkim zdążasz na czas? Gospodarz na to: „To ten, któremu nie chciałaś robić pogrzebu”.

Gospodarstwo znajdowało się na obszarze dawnych Prus Wschodnich, niedaleko Królewca (Königsberg). Gospodarz nazywał się Rozynek. Rozynekowa miała zaufanie do Leona i nieraz „politykowała” z nim. Znała trochę język polski. Nienawidziła Hitlera za zbrodnie i palenie ludzi w krematoriach. Leon pytał, dlaczego zatem w kuchni, gdzie jadali posiłki, wisi portret Hitlera. „Bo my musimy wierzyć w niego, jak w bożka” – odpowiadała gospodyni. „Ale on doprowadzi do tego, że nas stąd wyrzucą...” (Dobrym była prorokiem).

Leon woził Rozynekową bryczką na zakupy do Królewca (obecnie Kaliningrad). Gospodyni opowiadała, że jeden ich syn już zginął na tej wojnie. Drugi, który służył w SS i kochał Führera, miał przyjechać do domu na święta Bożego Narodzenia. Leon, traktowany jak domownik, został zaproszony do stołu wigilijnego. Syn, zobaczywszy go przy stole, powiedział, że on z wrogiem do wieczerzy nie zasiądzie. I wyszedł. Potem rozkazał rodzicom, żeby pozbyli się Leona, a że byli oni w jakiś sposób zależni od syna esesmana, Leon musiał zmienić miejsce pobytu.

Trafił do kopania okopów, skąd wkrótce z dwoma innymi jeńcami uciekł i pociągiem, wracającym z frontu rosyjskiego, dotarł na ówczesne wschodnie ziemie niemieckie. Uciekinierzy powiedzieli Niemcom, że dokumenty zgubili; zostali skierowani do ciężkich robót. Leon, że był słaby, trafił do pracy u młynarza. Młyn stał nad rzeką i zwał się Bobermühle, jego właścicielem był Niemiec Meissner. Leon rozwoził furmanką mąkę do piekarni, a przywoził worki pełne chleba. Pewnego razu drogą szła grupa więźniów czy jeńców. Leon rzucił im worek z chlebem. Głodni zostali nakarmieni, a młynarz nie zauważył braku części pieczywa.

Koniec wojny był blisko. Niemcy uciekali z Rosji. Zbliżał się front wschodni. Właściciel młyna powiedział, że kto chce, może zostać, inni mogą uciekać razem z nim nad Łabę. Leon pojechał więc z kolegą w głąb Niemiec. Wkrótce dowiedzieli się, że Amerykanie wkraczą do Niemiec. Kiedy z drugiej strony weszła Rosja i skończyła się wojna, można już było wracać do Polski. Pociągi jednak jechały tylko od czasu do czasu i to „po kawałeczku”. Podróż trwała więc długo. W drodze do kraju Leon poznał moją siostrę Stanisławę. Razem przebyli szmat drogi, dużą część na piechotę. Leon wspominał:

*Do domu szliśmy prawie 700 km, tory były poniszczone. Wieźliśmy na wózkach, nieśliśmy na widłach od gnoju swój dobytek.*

Już razem ze Stanisławą dotarli do Wrocławia, gdzie sporej grupie Polaków wraca-



jących do domu zorganizowano kwaterę w opuszczonym niemieckim budynku. Leon znalazł w ruinach budzik i kasetkę z biżuterią. Legowisko miał przy piecu kuchennym, włożył więc swe skarby do „bratury”. W nocy wtargnęli własowcy przebrani za chorych w pasiakach. Kazali Polakom położyć cały dobytek na środku, a że mieli broń, nikt nie protestował. Grzebali w rzeczach, zabierali co lepsze i wynosili. Nagle zadzwonił budzik ukryty w piekarniku, a żołnierz stojący przy piecu usłyszał „czasy” i zabrał Leonowe skarby. W ten sposób Polacy zostali ograbieni ze swego ubożego dobytku.

Leon nie mógł już wracać do domu za Bug. Przyjechał więc do domu Stachy, do Muszyny. Tu się pobrali i założyli rodzinę. Pracował przy odbudowie tunelu, potem w składzie drewna, w leśnictwie Majdan u pana Horodyńskiego. Kiedyś drzewo przygnoiło mu palce, ale nie chciał się skarżyć ani ubiegać o odszkodowanie, bo kierownictwo mogło mieć kłopoty. A kierownik był dla niego świętością.



Leon Czmiel przed Domem Zdrojowym  
w Żegiestowie

Był bardzo pogodny, nigdy nie narzekał. Nie ma osoby, która by go dobrze nie wspominała. Każdemu gotów był służyć pomocą, nikomu nie odmawiał. Zwykły człowiek przez bardzo duże „C”...

Leon zmarł 18 stycznia 1999 roku; spoczywa na muszyńskim cmentarzu.

#### ***Od redakcji:***

Leon Czmiel został odznaczony Medalem za Udział w Wojnie 1939 roku.